SCHRONOLOGIA

OKOLICZNIK EZOTERYCZNY

3

Apokaliptyczny biuletyn
Trzynastego Schronu

Wakacyjnie i pożegnalnie

Kanikuła w pełni, komary tną jak zwykle, przegraliśmy na piłkarskim turnieju jak zwykle i tylko czekać, aż polskim zwyczajem zaczną narzekać rolnicy (na klęskę nieurodzaju bądź urodzaju, więc powód się znajdzie).

rys. Adam Woś

Cykliczność towarzyszy nam niezmiennie od zawsze, gdyż fortuna kołem się toczy wkoło Macieju i dalej w kółko na okrętkę w krąg od wieków. Że zaś powtarzalność i schemat rodzą uspokojenie i poczucie bezpieczeństwa (udowodnili to słynni Amerykańscy Naukowcy lata temu) — nie chcemy Was, Drodzy Czytelnicy, wyrywać z błogiego, sennego lenistwa letniego. Stąd też, trzeci, ostatni już numer naszego „ezokolicznika" ukazuje się — prawem koła — zgodnie z obietnicą i w terminie (mimo problemów technicznych, wszak działanie w kryzysie to nasza specjalność).

W tym numerze odtajnimy oblicze Informacji. Przez wielkie „I" — tej w radiu i tej w Internecie. Dowiemy się, co mają ze sobą wspólnego okultyzm i piłka nożna, trzynastka i Zygmunt, oraz — dlaczego te wszystkie elementy są postapo. (Cichutka podpowiedź: Bo Emanacja tak chciała!!!). Być może apokaliptyczny wymiar treści zelżał przez dokuczliwy upał, który Redakcji musi dawać się we znaki. Wszak biuro każdego postapowca domyślnie wygląda siermiężnie i kryzysowo: stare, brzydkie krzesła i fotele, obite szorstkimi tkaninami z przewagą zaprojektowanych hurtowo kraciastych wzorków-koszmarków. Niektóre z odłamaną nogą i opadającym wciąż do tyłu oparciem. Zaduch pleśni i kurzu, osiadłego na pożółkłych firankach. W takich warunkach i stary wentylator typu „wiatraczek" nie pomoże. Dlatego też, gdyby materiał wydał się Wam… swoisty (a może właśnie nieswoisty, niespecyficzny dla tematyki Schronu?) — uwierzcie, że stał za tym kryzys. Liczymy zresztą na to, że nasze teksty wpasują się idealnie między schłodzoną Nuka-Colę i chipsy z gumofilców mutanta, prażone na silniku zamiast grilla. Bądź przeterminowany zestaw kibica, który przecież trzeba zjeść, co się ma zmarnować. Jedzcie, pijcie, czytajcie. Ku chwale Jej Wysokości!!!

W imieniu ekipy Okolicznika: **Specynka**

PIĄTKOWA OŚ CZASU

1410 – Wojska pod dowództwem Jagiełły zajęły i spaliły Dąbrówno. Za dwa dni dadzą wycisk Krzyżakom pod Grunwaldem.

1521 – Pierwszy raz zabrzmiał Dzwon Zygmunt. *Więcej – strona 11*

1772 – James Cook rozpoczął swoją drugą podróż dookoła świta. Królewskie Towarzystwo Naukowe zleciło mu poszukiwanie *Terra Australis*. HMS *Resolution* i HMS *Adventure* wypłynęły z Plymouth.

1869 – Łódź stała się bogatsza o gazowe oświetlenie ulic i placów.

1897 – Marconi otrzymuje amerykański patent na **telegraf bez drutu.** *Więcej – strona 4*

1943 – Adolf Hitler wydaje rozkaz wstrzymania ofensywy na Łuku Kurskim.

1969 – Wystrzelono radziecką sondę księżycową *Łuna 15*.

1977 – W Nowym Jorku wystąpiła dwudziestopięciogodzinna awaria elektryczności.

1995 – Wahadłowiec Discovery rozpoczął misję STS-70.

2004 – Interplay odsprzedał prawa do gry Fallout 3 firmie Bethesda Softworks (twórcom między innymi Morrowinda).

2009 – Trzynasty Schron wraz z Agencją Wydawniczą Runa ogłasza konkurs promujący zbiór opowiadań Krzysztofa Kochańskiego pt. "Zabójca Czarownic".

1508 – Pierwsza bitwa pod Orszą. Z pewnością nie tak ważna i spektakularna jak ta z 1514, ale warto o niej wspomnieć.

1666 – Lubomirski pokonuje armię królewską w bitwie pod Mątwami.

1793 – Jean Paul Marat został zasztyletowany w wannie przez Charlotte Corday. Scena została odtworzona na obrazie (*Śmierć Marata*) przez Jacques-Louisa Davida, który był przyjacielem Marata.

1870 – Depesza emska powodem zamieszania w ówczesnej Europie. *Więcej – strona 7*

1930 – Rozpoczęły się pierwsze mistrzostwa w piłce nożnej. Miejscem rozgrywek był Urugwaj. *Więcej – strona 11*

1944 – Tadeusz Bór-Komorowski zakończył akcję scaleniową Batalionów Chłopskich i Armii Krajowej, a oddziały AK Aleksandra Krzyżanowskiego wraz z Armią Czerwoną zdobyły Wilno.

1980 – Rozpoczął się strajk pracowników MPK w Lublinie.

2002 – Powstał działy Ciekawych Questów F1 i FT, do powstania których przyczynili się Hammer i MCornic.

2008 – W wypadku samochodowym zginął Bronisław Geremek.

Guglielmo Marconi i radio, czyli spór o patenty i pamięć

Siedmiolampowa superheterodyna – kunsztowny, luksusowy mebelek ustawiany w salonie na honorowym miejscu. Przedwojenny szczyt użytkowej elektrotechniki. Kosztowny – do 1000 złotych, według cennika wileńskiej firmy Elektrit. Nawet najprostsze modele nie były tanie (ok. 200 zł) ale mając odpowiednie pojęcie można się było pokusić o samodzielną konstrukcję.

Okno na świat, bez obrazu wprawdzie ale fonia wystarczała, by uruchomić wyobraźnię. Zatopić się w dźwiękach z filharmonii albo synkopach jazzbandu. Uwierzyć w najazd Marsjan (audycja O. Wellsa z 1938 roku). Dać się uwieść charyzmie Duce, Führera czy F. D. Roosevelta. Dobór postaci nieprzypadkowy. Mimo różnic, oni jako pierwsi zaczęli świadomie wykorzystywać potęgę radia w polityce. Na wizji – z różnych przyczyn – wypadali gorzej.

Znaczące narzędzie wpływu, nawet dziś. Istnienie Radia Maryja dowodzi, że to medium ciągle ma w sobie magię, że mimo dominacji obrazkowej kultury, spowszednienia i komercyjnych formatów uśmiercających oryginalność, nie daje się zredukować do roli towarzyszącego zakupom czasoumilacza.

Poszukiwanie początków radia w równaniach Maxwella (1865) – teoretycznie uzasadnione – wydaje się jednak pewną przesadą. Podobnie ma się sprawa z odkryciem Hertza, który doświadczalnie potwierdził (1886) istnienie postulowanych przez poprzednika fal ale nie widział ich praktycznego zastosowania i zmarł zbyt młodo by go doczekać.

Udanym – i powszechnie uznanym – protoplastą był ‘telegraf bez drutu’ Marconiego (patent brytyjski z 2 czerwca 1896, a amerykański z 13 lipca 1897 roku). Za to głównie – dosłownie; ‘za wkład do rozwoju telegrafii bez drutu’ – dostał Marconi Nagrodę Nobla (wraz z C. F. Braunem – tylko kto o nim pamięta?). Marconi był zdolnym eksperymentatorem ale nie był ani pierwszy, ani najlepszy. Dlaczego właśnie on zmonopolizował praktycznie rynek morskiej długodystansowej telegrafii (ok. 1915 roku), a pamięć właściwie do dzisiejszego dnia? Dlaczego przyćmił wielu innych konstruktorów i wynalazców? I to na tyle skutecznie, że pamiętają o nich tylko drobiazgowi, lubujący się w przyczynkach specjaliści, a z radiem kojarzy się wyłącznie on?

Trudno Marconiemu czynić zarzuty z faktu, że urodził się w bogatej rodzinie – właścicieli ziemskich, przemysłowców, bankierów. Że potrafił swobodnie poruszać

się w rzeczywistości społecznej dwóch krajów – z pochodzenia i obywatelstwa był Włochem ale jego pierwszym językiem był angielski. Że nawiązywał i wykorzystywał kontakty w urzędach, wojsku i biznesie. Wynalazek miał olbrzymi potencjał w każdej z tych sfer – zresztą trafił na przygotowany grunt, imperium brytyjskie zgłaszało zapotrzebowanie (poczta i flota). Że miał środki na spektakularne pokazy i potrafił zadbać o rozgłos bijąc kolejne rekordy – nawet jeśli niektóre z nich (łączność przez Atlantyk w 1901 r.) budziły wątpliwości. Że 'charytatywnie' podejmował się prestiżowych wyzwań – informowanie królowej Wiktorii o stanie zdrowia następcy tronu (150 depesz w 1898 r.), czy uruchomienie Radia Watykańskiego (zapowiadał pierwsze radiowe wystąpienie papieża w 1931 roku). Że należał do establishmentu - dwa arystokratyczne małżeństwa, tytuł markiza w 1929 r. Że dbał o sławę i się nią cieszył - liczne prestiżowe medale, ordery państwowe, doktoraty honoris causa, przewodniczenie Królewskiej Akademii Nauk. Że starał się o polityczne wpływy – senator (1914), delegat na konferencję pokojową w Paryżu (1919). Nawet aktywny udział w ruchu faszystowskim (od 1923 roku, od 1930 był członkiem Wielkiej Rady Faszystowskiej, Mussolini był świadkiem na drugim ślubie) można zrozumieć. Niewielu wtedy miało pojęcie do czego to prowadzi, zresztą nie należy utożsamiać włoskiego faszyzmu z nazizmem. Kończąc to długie wyliczenie należałoby dodać jeszcze pasję żeglarską, służbę w marynarce oraz osiągnięcia w radiotelefonii i konstrukcji anten.

Potrafił wykorzystywać szanse. To dowody jego geniuszu. Śnieżna kula, sprzężenie zwrotne. Sukcesy na jednym polu ułatwiały osiąganie go na innych. Był politycznie i towarzysko umocowanym biznesmenem – celebrytą. Inni wynalazcy nie mieli takich atutów - trafili do zakurzonych archiwów. Należy jednak oddać sprawiedliwość Marconiemu. W początkowym okresie, telegrafu iskrowego, "najlepiej rozwiązał problemy techniczne z przesyłaniem informacji za pośrednictwem fal elektromagnetycznych". Tak podsumowuje w krótkiej notce jego osiągnięcia A. K. Wróblewski w swojej monumentalnej "Historii fizyki". Trzeba do tego dodać jeszcze jedno, potrafił stworzyć i prowadzić przedsiębiorstwo dzięki któremu wynalazek stał się powszechnie dostępną technologią.

Co ciekawe, metody jakie stosował by osiągnąć sukces zaszkodziły mu ostatecznie w biznesie, ale nie naruszyły pozycji w pamięci i historii. 'Pożyczał' patenty, patentował cudze wynalazki, a później – pod wpływem opinii publicznej – kupował te, które mu zagrażały. Bezwzględnie wykorzystywał przewagę dążąc do monopolu. Kontrakt z Lloyds'em (1898) dawał mu nie tylko wyłączność na sprzęt, ale i przewidywał, że stacje brzegowe mogą nawiązywać łączność tylko ze statkami wyposażonymi w jego aparaturę. Nieco później US Navy nie dała sobie narzucić wyłączności i pomimo pozytywnych wyników prób, zrezygnowała z kontraktu zakupując sprzęt u innych producentów. Pozycję Marconiego naruszył skandal niemalże dyplomatyczny. W 1902 roku jego stacja odmówiła przekazania depeszy do prezydenta USA T. Roosevelta, ponieważ nadawca (niemiecki parowiec - SS Deutschland) miał inny nadajnik. Marconi zaognił sprawę mówiąc o pasożytach żerujących na jego inwestycjach. Wyczucie go zawiodło. Niemcy zaczęli aktywnie wspierać rodzimych producentów, a Amerykanie nabrali dystansu.

Symptomatyczna dla jego metod jest kwestia uzyskania amerykańskiego patentu na radio (generację fal wysokiej częstotliwości do celów transmisji).

Patenty Tesli blokowały Marconiemu dostęp do tego rynku. Urząd patentowy kilkakrotnie odrzucał, składane od końca 1900 roku, wnioski. Marconi pozyskał wpływowych amerykańskich inwestorów, zatrudnił jako konsultanta Edisona, najsłynniejszego wtedy wynalazcę, skonfliktowanego z Teslą osobiście i biznesowo. Urząd zmienił zdanie (1904). Trudno nie żywić podejrzeń w tej sprawie, tym bardziej, że Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych – po długim (od 1915 r.) procesie i apelacjach – ostatecznie unieważnił patent (1943) i przyznał rację Tesli (pośmiertnie), orzekając ponadto, że Marconi naruszył prawa dwóch innych wynalazców.

Długotrwałość procesu nie była sprawą Marconiego. Zmarł w 1937 roku, a dużo wcześniej – w 1919 – amerykański oddział jego firmy został przejęty przez rodzimych inwestorów. W obliczu wojny - bo z tego okresu pochodziła inicjatywa - jego otwarte dążenie do monopolu, zakupy nowych technologii, zostały uznane za zagrożenie.

Telegrafia iskrowa, spychana lawiną nowych wynalazków, odchodziła w przeszłość. Konkurencja rosła. Firma Marconiego powoli traciła na znaczeniu. Monopol osiągnięty praktycznie w połowie drugiej dekady XX wieku, okazał się nie do utrzymania. Sława pozostała nienaruszona. Genialny wynalazca czy bezwzględny biznesmen? Gdzie jest prawda o Marconim? Leży tam, gdzie leży. Niekoniecznie pośrodku. Pomiędzy.

Jaki to ma związek z klimatami preferowanymi na Schronie? Z definicji mieć musi aktualny i ścisły. Inaczej ten trzynasty nie wypadłby w ten piątek. W doktrynie Emanacji nie ma miejsca na przypadek. Nie mnie wyrokować o co chodzi. Z postapo związek jest na tyle luźny, że trzeba by się trochę nagimnastykować, by go wykazać. Natomiast całkiem nieźle wpisuje się to w historie przekazywania informacji na odległość. Od płonących wici, bębnów i gołębi po Internet.

Wykorzystano:

B. Orłowski – Powszechna historia techniki, Oficyna Wydawnicza ‘Mówią Wieki’ 2010

A.K. Wróblewski – Historia fizyki, PWN 2007

Wikipedia – Guglielmo Marconi, http://pl.wikipedia.org/wiki/Guglielmo_Marconi

Nicola Tesla
http://pl.wikipedia.org/wiki/Nikola_Tesla

Inne hasła osobowe (bardzo nierówne) zgrupowane pod linkiem – Pionierzy radia
http://pl.wikipedia.org/wiki/Kategoria:Pionierzy_radia

warto zajrzeć do hasła -
http://pl.wikipedia.org/wiki/Historia_radia_-_kalendarium

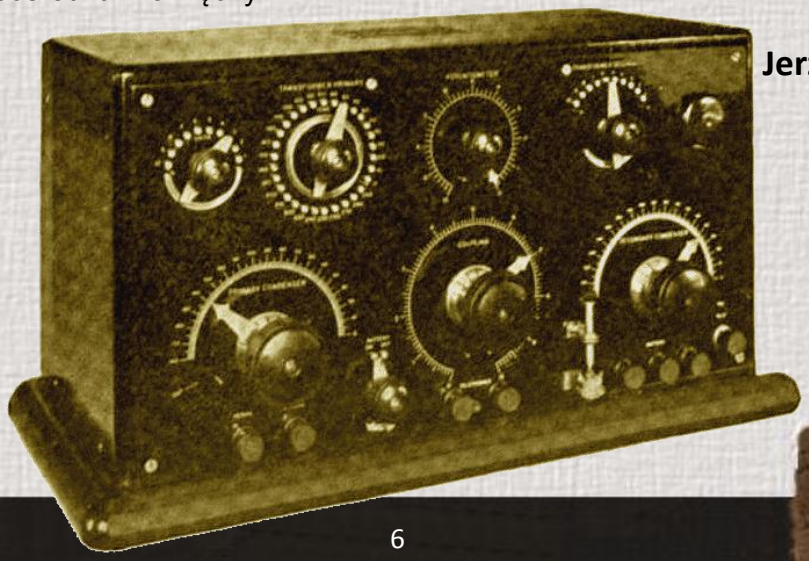

Jerzy ‘Jerzy’ Kubok

PECHOWA DEPESZA, ZAĆMIONY JUNKIER I PRZECIEK KONTROLOWANY

Czyli trochę o informacji [celowo] zniekształconej

Pułkownik do majora:

— Jutro o 9:00 nastąpi zaćmienie Słońca, co nie zdarza się każdego dnia. Niech wszyscy żołnierze wyjdą na plac ćwiczeń, będę im udzielał wyjaśnień. W razie deszczu, ponieważ i tak nic nie będzie widać, proszę zebrać ludzi w sali gimnastycznej.

Major do kapitana:

— Na rozkaz pułkownika jutro o godzinie 9:00 rano odbędzie się uroczyste zaćmienie Słońca. Jeśli zajdzie konieczność deszczu, pan pułkownik wyda w sali gimnastycznej oddzielny rozkaz, co nie zdarza się każdego dnia.

Kapitan do porucznika:

— Na rozkaz pułkownika jutro o 9:00 nastąpi zaćmienie Słońca. W razie deszczu zaćmienie odbędzie się w sali gimnastycznej, co nie zdarza się każdego dnia.

Porucznik do sierżanta:

— Jutro o 9:00 pułkownik zaćmi Słońce na sali gimnastycznej, co nie zdarza się każdego dnia.

Sierżant do kaprala:

— Jutro o 9:00 nastąpi zaćmienie pułkownika z powodu Słońca. Jeżeli na sali gimnastycznej będzie padał deszcz, co nie zdarza się każdego dnia, zebrać wszystkich na placu ćwiczeń.

Dwaj szeregowi pomiędzy sobą:

— Zdaje się, ze jutro będzie padał deszcz. Słońce zaćmi pułkownika na sali gimnastycznej. Nie wiadomo dlaczego, nie zdarza się to każdego dnia.

Major ze znanego (przynajmniej teoretycznie, bo dość już starego, a przy tym popularnego) dowcipu powyżej z pewnością nigdy do jednostki pod nazwą Trzynasty Schron nie należał. I chwała Bogu, bo razem ze swoją kompanią zaćmiłby nie tylko Słońce (dość prażące na pustkowiach, więc to jeszcze nie byłoby najgorsze posunięcie majora), co resztki rozsądku i twórczej myśli. Nie ma się co zresztą łudzić: jakiekolwiek „majorowanie” czy szeroko pojęte dowodzenie w wypadku takiej osoby nie skończyłoby się dobrze. Nasz hipotetyczny major miał zresztą za zadanie być trepem, gdyż taki mu archetyp przewidziano w kawale.

Za bezpośrednie zaćmienie wodza odpowiedzialny jest Sierżant; to w jego rozkazie intelekt pułkownika ma spotkać zagłada. Jednak stopniowe, komiczne zafałszowywanie informacji zaczyna się już u majora właśnie; bezpośrednio odpowiadający za przekazanie dyrektywy dalej, żołnierz nie tylko dośpiewuje sobie bezpośrednią ingerencję zwierzchnika w naturalny proces, lecz także dodaje całemu zjawisku dodatkowego lukru (zdarzenie już niecodzienne, ale jeszcze nie uroczyste, staje się właśnie uroczystością), po czym dokumentnie miesza resztę faktów. Dalej kostki domina lecą w gwałtownym tempie…

Dowcipy takie, jak powyższy, skupione wokół sylwetek przedstawicieli określonych grup społecznych, nie łudźmy się, nie są zazwyczaj zbyt subtelne. Mimo niekiedy nad wyraz celnych spostrzeżeń, bazują jednak na utartych stereotypach i bardzo często szydzą — a to z blondynek, a to z policjantów, a to z wojska. Wiele z nich wywodzi się z czasów PRL, kiedy to oficera stwarzała „szczera chęć", a policjant z konieczności służył znienawidzonej władzy. Inne są zlepkiem zbiorowych skrótów myślowych, typowych właśnie dla stereotypu (skrótem jest przejście od pewnego typu kobiety, postrzeganej jako infantylny do kobiety jasnowłosej w ogóle — jako głupiej — a dalej jeszcze, do każdej jednej kobiety („głupsza płeć").

Gdyby jednak odłożyć na chwilkę celowe przerysowanie figur dramatu, zarysowanego w dowcipie, założyć, że Major miał szczere intencje, lecz mało polotu, można się pokusić o zapytanie, co stało za tak jaskrawym zdeformowaniem treści rozkazu.

Pośpiech? Nadgorliwość, z powody której żołnierz tak skupił się na samej wadze rozkazu, że już nie zakonotował wystarczająco jego treści?

W wersji komediowej mamy wojskowego trepa, którego cechuje „tylko" głupota i więcej nic. To wystarczy, żeby zrozumieć zamysł dowcipu.

Pokuśmy się jednak o inną wersję. Psychologiczno-obyczajową, ba, może i kryminalną nawet. Oto nasz Major jest szwarccharakterem z pragnieniem przejęcia władzy. Otrzymując rozkaz, przekręca treść tak, by uczynić ją nadzwyczajnie głupią i śmieszną — w ten sposób ośmiesza samego przełożonego. Nim informacja zwrotna o wykonaniu zadania (a także, w związku z powyższym, o tym, jak rozkaz został przyjęty i o tym, co mówili między sobą szeregowcy, pukając się być może w głowę i rysując kółka na czole) dotrze do Pułkownika, o jego bzdurnych dyrektywach dowie się już cały zainteresowany światek (jednostki czy też armii). Major wie bowiem, że jego absolutnie wyzuci z resztek inteligencji oficerowie i podoficerowie dołożą do treści rozkazu własne farmazony. Oczywiście, za wszelkie uchybienia odpowie sam, bezpośrednio przed „starym". Co jednak, kiedy „stary" uważany jest w pewnych kręgach za już zbyt niedołężnego, by przewodniczyć reszcie naszych wojaków? Jeśli nasz Major jest wpływowy, makiaweliczny, diaboliczny, umie się wyłgać i wyswobodzić z największych opresji, to — tu szepcząc, tam mieszając — wkrótce pogrąża generała! Teraz wystarczy już tylko dodać Majorowi pozytywnego kontra-bohatera, najlepiej w postaci wiernego szeregowca, który odkrywa spisek — i z komedii robi się nam pierwszorzędny akcyjniak… Ale zagwozdki gatunkowe zostawmy tym razem twórcom literatury. Bądź filmu. Skupmy się na cichym bohaterze całości — Informacji.

Informacji, którą tak łatwo zniekształcić, sfałszować, upowszechnić równie prosto, co zataić.

Zwłaszcza dziś. W świecie skrótów, bryków, emotek i „ekspertów z sieci".

13 lipca 1870 z uzdrowiska w Ems Wilhelm I Hohenzollern wysłał do kanclerza Otta von Bismarcka depeszę, znaną później jako depesza emska. Żelazny Kanclerz zmienił jej treść tak, że stała się w sposób impertynencki lekceważąca dla Francuzów, sprzeciwiających się osadzeniu Leopolda Hohenzollerna na tronie hiszpańskim — i tym samym hegemonii Prus w Europie. Obraźliwa, upokarzająca Francję depesza była bezpośrednim asumptem do wojny francusko-

pruskiej, zaś dyplomatyczny fortel Bismarcka — niejako „przeciek kontrolowany” — wszedł do historii propagandy. Pozornie treść zmieniona przez Bismarcka, w stosunku do pierwotnej, jest „tylko” okrojona. Gdy się jednak przyjrzeć obydwu wersjom, widać, że to, co neutralne, po okrojeniu jest lekceważące i niegrzeczne, zaś będący w istocie daleko od sprawy hiszpańskiej sukcesji król pruski — w depeszy Bismarcka występuje jako prowokator, ignorujący, a nawet poniżający przedstawicieli francuskiej dyplomacji.

Bismarck docenił potęgę prężnej już wówczas prasy. Dziś zapewne posłużyłby się Internetem, a do korespondencji dodałby adnotację „tajne” — właśnie po to, by przeczytało ją jak najwięcej osób, skuszonych zakazanym owocem. Bardzo możliwe, że nie wszedłby jednak ze swoim wybiegiem dyplomatycznym do podręczników; krążący po sieci link miałby wkrótce tak wielu autorów, że w końcu nie posiadałby żadnego. Historycy nie docieklibyy, kto jako pierwszy zamieścił w Internecie kłopotliwy materiał i/lub był jego twórcą. Zwłaszcza, jeśli zamieściłby przeciek na WikiLeaks — serwisie, którego dewizą jest przepuszczanie kontrowersyjnych dokumentów przez internetowe i społeczne sito, przy zachowaniu w tajemnicy tożsamości tych, którzy „drążą dziury”.

Informacja, bohater pretekstowy incydentu z zaćmieniem Słońca w dowcipie, w społeczeństwie informacyjnym awansuje do roli bohatera pierwszoplanowego. Jest to jednocześnie bohater zbiorowy. Wszystko jest informacją i — paradoksalnie — nie jest nią na pewno; zawieszona w globalnej przestrzeni wymiany zdań i opinii, których autorów trudno wskazać, informacja może być w równym stopniu wieścią o dużej ważkości dla spraw publicznych, plotką, przypuszczeniem, reklamą i opinią. Liczy się to, kto ją podaje, kto podaje ją jako pierwszy czy wreszcie towarzystwo, w którym informacja pada. Nie byłoby w tym nic szczególnego, gdyby nie fakt, iż „rozplotkowane salony” istnieją w przestrzeni wirtualnej — z żywymi ludźmi „dywagują” boty. Rozmywa się więc nie tylko samo pojęcie informacji, ale i podmiotu dialogu. Brakuje już tradycyjnego adresata i nadawcy. Sklejenie się nośnika (medium) z treścią powoduje istnienie wielu autorów pliku czy obrazu; „Requiem” Mozarta funkcjonuje już nie jako utwór kompozytora, lecz jako „kawałek” do ściągnięcia, oznaczony jako „Requiem dla snu” — tytułem książki i jej adaptacji — bądź rzekoma piosenka szwajcarskiej grupy muzycznej Lacrimosa (poprzez pomylenie nazw: zespołu i sekwencji dzieła austriackiego kompozytora). Przerobione w programie zdjęcie jako własne oznaczają i fotograf, i grafik, który wziął je na warsztat, a wkrótce „dorabia się” ono kilkunastu innych autorów, wykorzystujących obraz do użytku własnego. Blogerzy, zamieszczający na swoich stronach teksty i obrazy, których autentyczności nie sposób dociec — chwaleni są za celność wypowiedzi czy piękne fotografie. Redagowana przez — przynajmniej teoretycznie — każdego chętnego, Wikipedia zastępuje autorytety, które coraz częściej „istnieją par media”; czyli wyłącznie przez pryzmat pokazania się w telewizji, prasie, sieci. Żartobliwe stwierdzenie: „Nie masz Facebooka — nie istniejesz” w pełni oddaje to zjawisko, choć odnosi się nie tylko do osób ze świecznika, ale każdego jednego „szaraczka”, chcącego być członkiem globalnego obiegu informacji. Co ciekawe, zmasowany atak chaotycznie wymieszanych, homogenizowanych wiadomości (newsów, apeli, plotek, reklam i filozoficznych artykułów, podanych w jednej medialnej bule), bardzo często dokarmia pojawiającą się przeciw niemu opozycję). Mniej lub bardziej pozorny bunt przeciwko „fali” nie może się bez niej samej obejść. Korzysta bowiem z tych samych źródeł przekazu. Czasem rezygnacja z informacji oficjalnej na rzecz pokątnej (a właściwie „pokątnej”, skoro mowa o Internecie) bywa skuteczną strategią marketingową. Sieć pomieści i wzmiankę o zakazanej reklamie danego produktu, i ową reklamę jako taką; przynoszącą właśnie tym większy zysk, im bardziej „zmusi się” twórców (dających się do tego przymuszać z radością masochisty) do przeniesienia się na wody netu. Zakazane reklamy, kontrowersyjne, w telewizji ocenzurowane odcinki znanych talk-shows — przed komputerem można obejrzeć w pełnej krasie.

Krótkoterminowość, zmienność, a także i swoista wymienność znaczeń (zależna od mód, podaży i popytu; przykładem tolerancja, mylona z akceptacją, funkcjonująca w dyskursie publicznym jako najwyższa z postaw afirmujących, jaką możemy przejawiać wobec innych, gdy tymczasem oznacza próg akceptacji właśnie) — powodują ich migotanie*, a w konsekwencji zanik ważności. Od niedawna zadomowione u nas pojęcie memu może być tutaj dobrym (choć nie do końca wyczerpującym temat) wyjaśnieniem; ten sam fragment treści, wyrwany z kontekstu, potrafi służyć jak sarkastyczny zwrot w dyskusji, slogan reklamowy czy hasło polityczne i nikt już nie docieka, czy wziął się z literatury „wysokiej", pieśni religijnej czy ulotki agitacyjnej. Bardzo często media dla nich pierwotne, a także autorzy — ulegają ośmieszeniu lub zlekceważeniu, przeważnie zaś — zapomnieniu. Liczy się tylko celny wycinek zdania. Proces w równym stopniu, co słów, dotyczy także gestów, obrazów, symboli i mód, pojawiających się i znikających na tyle szybko, by zapomnieć o ich znaczeniu, ale by zanotować frapujący skojarzeniowo fragment — bądź treści, bądź nośnika. Te same motywy ubioru, wyglądu, znajdziemy, np. u młodych dziewczyn wystylizowanych „na lolitę", w ubrankach dla małych dziewczynek i toaletach lalek Bratz, a także u bohaterek kreskówek. Zatarciu, rozdrobnieniu, zagubieniu czy wreszcie, zmianie obyczajowej — uległy takie pojęcia, jak: kobiecość, niewinność, prowokacja, dziecięctwo. Przymiotnika „spolegliwy" nikt już nie kojarzy z osobą odpowiedzialną, lecz uległą. I nie jest to tylko kwestia przemian języka, ale i „zgnuśnienia od nadmiaru"; potok informacji płynie na tyle wartko, że wkrótce nas zalewa. Kiedy zeń wychodzimy, by obeschnąć — pojedyncza kropla nie jest w stanie nas poruszyć. Mamy pewność, że to, co kapie, jest mokre. Nie pytamy już o radioaktywną zawartość hipotetycznej kropli. Nie dziwi nas nic. Jak stwierdzają Melosik i Szkudlarek:

(…) Nasze życie nieodwołalnie nabiera charakteru hiperrzeczywistego — naśladuje telewizyjny przekaz. Staje się wtórną ekranizacją medialnych pierwowzorów. Kalką z kalki, kopią z kopii. Byt traci swoją ziarnistość, nie potrafimy już doświadczać rzeczywistości „samej w sobie" — rozkruszać grudki ziemi i czuć w palcach sens milionów lat. Pędzimy do przodu w oczekiwaniu nowych radykalności. (…)

Nie tylko więc nie docieramy do „brudnopisów" tych czy innych depesz — ale treść ich nie wywołuje oddźwięku. Gubi się między reklamą jogurtu, a powiadomieniem z Facebooka. Zarazem łatwiej jednak, ryzykując zagubienie — depesze fałszować, mając do dyspozycji niezliczoną ilość witryn, linków, kopii i okazji do podetknięcia pod nos surfującego internauty. Propaganda i manipulacja od wieków korzysta z tych samych technik: demontażu, okrojenia, dopisania, podbarwienia, przekoloryzowania, zrobienia negatywu, podania w takim a takim sosie, celowego przepuszczenia do obiegu treści „utajnionej" lub ukrycia informacji, promocji lub ośmieszenia osoby, produktu, etc. Ma jednak znacznie lepsze warunki ich stosowania.

Parafrazując klasyka (i historię) — można rzec: Bismarcków ci u nas dostatek. Co gorsze i co znamienne, ani z tęgości umysłu, ani z imperialnych zamiarów — domorośli „Bismarckowie" nie są podobni do poprzednika. Kopiują, wklejają, klikają i linkują bez namysłu. I właśnie dlatego są tak groźni. Ich depesze (ese)emskie nierzadko niczemu nie służą, a jedynie zaśmiecają globalną skrzynkę pocztową. Chociaż Twitter, Facebook czy Youtube spełniają niekiedy bardzo pożyteczną rolę i często są rzeczywiście jedyną alternatywą porównawczą dla stronniczych politycznie i cenzurowanych mediów — można z nich wyłowić i rybkę, i starego, zaśmierdłego buta. Na zdjęciu łatwo dodać zjawę, zaćmić Słońce — trzeba być czujnym na internetowym, światowym „placu apelowym".

*. Z. Melosik, T. Szkudlarek, Kultura, tożsamość i edukacja: migotanie znaczeń, wyd. IMPULS. Kraków 2009 (pierwsze wydanie w: 1998; wersja PDF)

Małgorzata 'Cichutki Spec' Ślązak

TRZYNASTY DZWONNIK

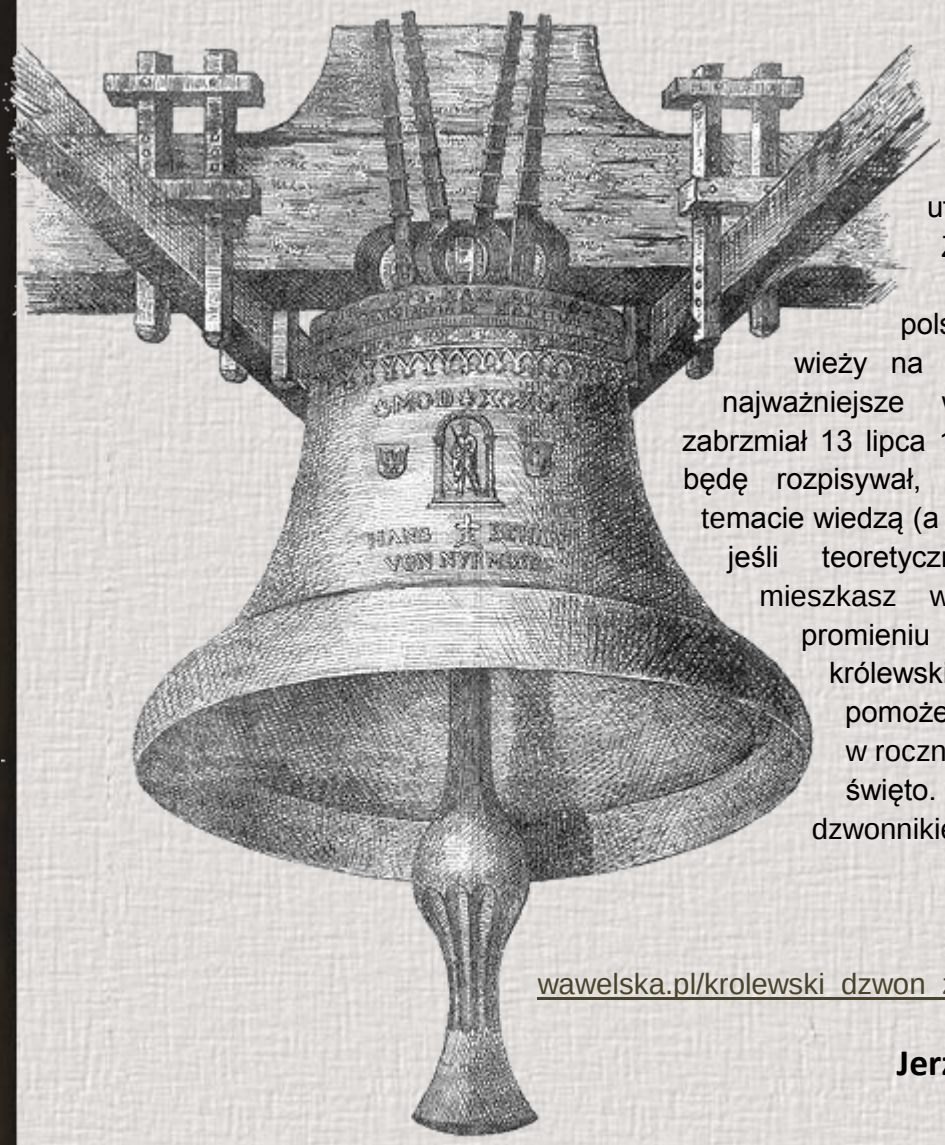

Wielki dzwon Zygmunt I. w Krakowie.

Źródło:http://pl.wikipedia.org/wiki/Plik:Dzwon_Zygmunta_(1841).jpg

Skojarzenia to przekleństwo. Tu pewnie ze względu na przedostatniego Jagiellona który go ufundował. Zygmunt, a nie Zygmunta. Właśnie tak nazywa się najsłynniejszy polski idiofon, który w tonie fis z wieży na Wawelu oznajmia Polakom najważniejsze wydarzenia. Pierwszy raz zabrzmiał 13 lipca 1521 roku. Zresztą, co ja się będę rozpisywał, wszyscy wszystko w tym temacie wiedzą (a przynajmniej powinni). Nawet jeśli teoretycznie masz zasięg, czyli mieszkasz w Krakowie, względnie w promieniu 30 kilometrów od tego królewskiego miasta, to nic Ci to nie pomoże. Nie możesz go usłyszeć, bo w rocznice nie bije. Uczcij schronowe święto. Zostań trzynastym dzwonnikiem.

http://www.katedra-wawelska.pl/krolewski_dzwon_zygmunt,54.html

Jerzy 'Jerzy' Kubok

Pechowa trzynastka? Nie — jedenastka!

PIŁKARSKA ALCHEMIA, POLONEZ I TANGO

...a może klątwa?

13 lipca 1930 roku odbyły się pierwsze Mistrzostwa Świata w Piłce Nożnej. Gospodarzem był Urugwaj, którego reprezentacja sięgnęła po złoto. Największa piłkarska impreza odbyła się potem jeszcze osiemnaście razy. Można się spierać, czy już po zakończeniu rozgrywek z 1930 śpiewano „Już za cztery lata, już za cztery lata (…)", niemniej jednak my, Polacy, nigdy nie zdobyliśmy pucharu. Dwukrotnie jednak (w'74 i '82) zajmowaliśmy trzecie miejsce na podium.

W 1960 roku wystartowały Mistrzostwa Europy, u nas oznaczane skrótowo jako ME — słynne (zwłaszcza od niedawna) Euro, które wówczas zwało się jeszcze Pucharem Narodów Europy. W tych, dla Polaków i Europejczyków drugich co do ważności rozgrywkach międzynarodowych, reprezentacja orłów uczestniczyła dotąd dwukrotnie. Z tym samym skutkiem: nad wyraz miernym. Tak jak w 2008, tak teraz w 2012, nie zdołaliśmy wyjść z grupy. W momencie, w którym załapaliśmy się na imprezę z Leo Beenhakkerem jako selekcjonerem, byliśmy już dawno, obiema nogami, w dołku, którego mroczne początki — tendencji karkołomnie i boleśnie spadkowej — znajdują się gdzieś w czasach radosnych lat cielęcych Schronowej załogi.

Czyżby więc klątwa? Nie trzynastki, patronującej z woli Emanacji naszemu okolicznikowi i ezoterycznie naznaczonym piątkom, ale jedenastki? Jedenastki, która, w składzie takim czy innym, przywdziana w barwy biało-czerwone, okazuje się jedenastką od wielu już lat pechową? (Tu aż ciśnie się na usta inne określenie, związane z pewną klasyczną już wojenną produkcją filmową, ale nie kopmy leżącego). Bo gdyby rzeczywiście Emanacja, z woli własnej i nieprzymuszonej, miała wyznaczyć dzieje mundialu jako pechowe dla orłów i zrobić z owych orłów męczenników (zgodnie z rodzimą martyrologiczną tradycją), to winno orłom pójść jeszcze gorzej na Mistrzostwach Świata (dwukrotny brąz) niźli na padole Starego Kontynentu. A tu — masz! Start 6 lipca 1960, niby źle nie wróżący… Chyba, że w sprawę wdał się jaki czort, z tymi swoimi szóstkami... Wdał się? Czy nie? Czemu, u diabła, znów nam nie poszło? Zapytajmy, nawet jeśli wiemy. Wszak bąbel po ukąszeniu komara (a pokąsały nas te zza południowej granicy) swędzieć przestaje, gdy rozdrapany, a wytłumaczyć się jakoś trzeba.

Miało być tak pięknie… A wyszło jak zawsze.

Zostawmy genezy okultystyczne i piekielne. Męczeńskie także. Bądź co bądź, nawet pod dachem, nałożonym kategorycznie przez UEFĘ, dało radę biegać. Pocąc się nie mniej niż w palącym słońcu bez dachu. Godnie spocili się Ukraińcy, współgospodarze tegorocznego turnieju, przegrywając po kozackiej walce z Anglią, a także Chorwaci — szaleni, nieobliczalni, drapieżni, poddając się w końcu Portugalczykom. I oni także nie wyszli z grupy, ale i bez dachu — gorąco mieli.

Czyli żar — słoneczny, piekielny, jakikolwiek bądź — odpada.

Być może „oni” — zarówno przeciwnicy, jak i Wielcy Oni — hipotetyczni, zatrważający kosmiczni wrogowie: politycy, ludzie z UEFY, masoni, Żydzi i cykliści — po prostu nie docenili stylu gry biało-czerwonych? Uparli się na tiki-takę i „rosyjski sprint”, przełknęli catenaccio — a nie docenili piłkarskiego poloneza? Polonez, jak wiemy, wywodzi się z chodzonego. Nasi chcieli potańczyć, dodać finezji grze. Taniec na boisku w stylu polonaise składa się z partii szybkiej w pierwszym kwadransie gry i trzech partiach uroczystego podawania piłki „na okrętkę” przez następne minuty połowy pierwszej i drugiej. Nie należy mylić poloneza z tiki-taką, którą cechuje żywsze tempo i lepsze przyleganie piłki do nogi.

No cóż, nie poznali się na polskim stylu.. Wymyślili sobie u nas, nad Wisłą, Tango… Szybkie, zwrotne, pokrętne. Ale styl to nie wszystko. Jest przecież siła zespołu, jest trener! Jest doping! A skoro te elementy są… Są? Były?

Smut(d)ne Kokoszki, chociaż lato trwa…

Ilekroć słyszałam, przez dwadzieścia trzy dni trwania Euro, motyw z piosenki Oceany „Endless Summer”, tudzież samą piosenkę, śmiała mi się gęba. Szeroko i szczerze. Bo cholera wpada w ucho i trzyma się go jak rzep. Bo kolorowo, wesoło, pokazali

nieco Polski, nieco Ukrainy i chociaż hurtem dodali palemek, panów o zdecydowanie niepolskiej karnacji, wielkie afro wokalistki, za to oszczędzili na nutach i słowach — całość działała jako poranny pobudzacz nie gorzej do kawy, komponowała się z florystycznym logo i wiecznie wesołym Babiarzem. Pasowała też do pory roku… I tutaj może lepiej dla nas, żeby Mistrzostwa odbywały się jesienią. Złota polska jesień jest równie charakterystyczna dla nas, co bigos, a wszelkie złe fluidy, które, jak wiadomo, mnożą się latem, gdy ciepło… Może ominęłyby nas jakoś owe fatalne fluidy, gdyby nie pogoda? A tak to żary, to wpływy, to kanikuła… I znów piekło, znów pot… No, lato… A skoro niekończące się, skoro endless — nie miejmy panu prezesowi za złe, że się wczuł.

Wczuły się też panie z Jarzębiny, kibicując Smudzie i życząc mu radości. Tylko, że chyba zapomniały o fluidalnych następstwach, o wpływach kultury symbolicznej, o tym, jak wielką moc ma słowo, o czym przecież my — okolicznościowi ezoterycy — wiemy. Smuda, smuta, smutek, smętek… Co prawda powiedziane jest w „Koko Euro Spoko", że Smuda się ucieszy, ale na złowróżbne „smu-" takie kontra-zaklęcie, zaklęcie polegające na stosowaniu przeciwieństw w użytych inkantacjach (czyli, nawiasem mówiąc, homeopatia nie jest sekciarska, bo tam podobne przez podobne przecież ma działać), coś jak w stylu „I wybieli się mroków czerń" — okazało się, niestety, za słabe? Można się wprawdzie pocieszyć, że czar pieśni rykoszetem uderzył także w ruskich, którzy doczekali się stadionowej Wielkiej Smuty, ale to mało. Fizjonomia trenera i jego głos były już naznaczone „wielkim smu-". Ale że trener w porządku, nie chciał zarażać podopiecznych smętkiem i nie zmieniał ich w myśl zasady „niech się ucieszą, skoro wyszli".

Tak czy owak, worożychy z Kocudzy nie dały czarami rady. Znów zresztą w sprawę wmieszali się Wielcy Oni. Bo przecież niemożliwe, by naród nasz polski, mając do wyboru nieśmiertelną, rasową (razową? Czerstwe pieczywo razowe smaczne…) Marylę, Wilki o bynajmniej nie stępionych kłach (jeno zainteresowane łowami bardziej natury damsko-męskiej na Baśki, niźli szarpaniem frazą i riffem wrażliwości słuchacza), nadzwyczaj wyczulonego na słowo Feela czy (tu już świeższe i sprawniejsze od sucharów i wilczyny) popisy góralsko-hiphopowe — wybrał najbardziej oryginalny numer, folkowy, skoczny i przaśny zarazem (zauważmy, przaśny tak samo jak chipsy do piwa, samo piwo, i przyśpiewki stadionowe), potem solidarnie się go wypierając w zbiorowym „Fuj!". Takie zachowanie może sugerować jedynie układ: spisek Wielkich i rodzimych „zdrajców", którym zależało na ośmieszeniu stadionów „wiochą" (gdzieś zapominając po drodze o tym, że wieś także ma odbiorniki do oglądania Euro w domach i nie przywozi śmieci do miasta, by je wysypać w rowie).

Poczciwe „Kokoszki", w swojej poczciwości nie ustępujące zapewne tyrolskim, rubasznym zaśpiewom, swojskiej celtyckiej nucie z dudami czy wschodniemu disco — zostały uznane za nożyce obciachu, który zetnie Polsce czubek, pióropusz z takim pietyzmem wyhodowany na Euro. I kto imprezę śledził z domu, nie chadzając na specjalne okolicznościowe koncerty, do Strefy Kibica i do pubów, a wreszcie na same mecze — nie uświadczył wesołych „babuszek" w całkiem sympatycznej piosence, którą z taką pompą ogłoszono hymnem kibica. Bo przecież, dobra, zrobiliśmy sobie jaja z siebie samych, wysyłając esemesy (w myśl idei tropicieli spisku), ale nie pozwolimy na to, by zniosły je kury z ludowego zespoliku. Nawet jeśli swego czasu powtarzaliśmy „Makarena!" i śpiewaliśmy piosenkę o keczupie — makaron z keczupem da się przedstawić gościom jako włoskie spaghetti. Jajecznica jest już zbyt trywialna. I może dlatego chłopcy nie zjedli dobrego śniadania, które dałoby im siły na więcej niż kwadrans meczu. Trzeba było jednak pozbyć się smutnej cząstki z pieśni, upał nie piekłby nas teraz po hiszpańsku…

Nie ma tego złego…

Skoro nic nam z zaklęć, modłów i formuł alchemicznych nie wyszło, a wręcz pieprznął z impetem alembik oczekiwań, należałoby, post factum, ale zawsze — zabezpieczyć się na przyszłość jakimś solidnym, szczelnym i chroniącym od klątw stwierdzeniem.

Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

Nie wyszliśmy z grupy, nie udało się naszym orłom wznieść skrzydeł nieco wyżej. Ale — nic to! Bowiem, już za cztery lata (w tym wypadku za dwa) — podsycimy znów parę pod kotłem i będziemy warzyć miszkulancję nadziei od nowa.

Nie rozegramy tylu ważnych meczy, nie będziemy mieć tylu imprez pod chmurką, jak koncerty czy festiwale — by zapełnić piękne i kosztowne stadiony na czas po Euro. Ważne, że pokazaliśmy. Im. Wielkim Manipulatorom od spisków i UEFY — że się da. Przejechać po drodze na kruszywie z toalet pół kraju, by posłuchać wzruszającego śpiewu Irlandczyków, złowić Shakirę na trybunach, zobaczyć Casillasa, Pirlo i Ronaldo nad Wisłą.

Pochodzić w barwach narodowych, czego na co dzień robić nie dają, a od święta przepasują flagę kirem i każą się smucić. Pochodzić w nich z uśmiechem na ustach, dumą w sercu, życzliwością w obyciu wobec tych wszystkich różnokolorowych gości — którzy nie struli się zatrutą wodą, nie wpadli na hasające samopas dzikie zwierzęta, nie zostali pobici widłami w biały dzień, a którym smakowały nasze pierogi.

Ucieszyć wreszcie — może nieco głupkowato, nieco komercyjnie, nieco pod presją reklam i piosenek — ale jednak szczerze: atmosferą kilkunastodniowego piłkarskiego, sportowego święta.

Dlatego też…

…pora nastawić alembik na 2016. 2, 0, 1 i 6 dają dziewięć — cyfrę ezoteryczną do numerycznego szpiku kości. Jeśli tylko do kotła nie domieszamy narzekania, cwaniactwa, małostkowości, dodamy zaś ambicję, rzetelność i wiarę — a nuż Emanacja doceni nasze starania. I za dwa lata złoto. Bo przecież kokoszki w baśniach znosiły i złote jaja…

Małgorzata 'Cichutki Spec' Ślązak

Stopka redakcyjna

KOORDYNATOR
Jerzy 'Jerzy' Kubok

TEKSTY I KOREKTA
Jerzy 'Jerzy' Kubok
Małgorzata 'Cichutki Spec' Ślązak

GRAFIKA NA PIERWSZEJ STRONIE

eNdi

GRAFIKA W TLE

Jan 'Nightmaster' Przeklasa

SKLAD

Janusz 'nie wiem' Zieliński

Schronologia okolicznik ezoteryczny jest własnością czasopisma internetowego Trzynasty Schron (ISSN 1899-6396), a zawarte w nim teksty zostały umieszczone za zgodą ich autorów i są ich własnością intelektualną. Kopiowanie, rozpowszechnianie całości lub fragmentów tej publikacji bez zgody redakcji jest zabronione.

To się będę śmiał, gdy nie zdążą ze zniszczeniem świata przed jego końcem.

Stanisław Jerzy Lec